ROK I. Chicago, dnia 30-go Sierpnia, 1883. **No. 35.**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1,00, bez Gazety $1,50.

Za redakcyą odpowiedzialne Pol. Lit. Tow. w Chicago. Listy i korespondencye adresować należy: Polish Literary Society, albo: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu "Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SLOWIANSKI:
Czwartek, 30 Sierpnia	Pocieszenia N. P. Maryi	Szczęsny bł.
Piątek, 31 Sierpnia	Rajmunda w., Rufiny p.	Swiętosław.
Sobota, 1 Września	Idziego op.	Dzierżysław
Niedziela, 2 Września	16 po Św. Joachima, Stefana	Czcibóg.
Poniedziałek, 3 Września	Bronisławy, Izabelii kr.	Przesława ś.
Wtorek, 4 Września	Rozalii Panormitańskiej p.	Rościsław.
Sroda, 5 Września	Wawrzyńca, Justyniana	Włodzisław.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ SZESNASTĄ PO ŚWIĄTKACH.

Ewangelia u św. Łukasza w rozdziale XIV.

W owym czasie, gdy Jezus wszedł do domu jednego przedniejszego Faryzeusza w Sabat jeść chleb, a oni Go podstrzegali. A oto człowiek niektóry opuchły był przed Nim. A Jezus opowiedziawszy, rzekł do biegłych w zakonie i Faryzeuszów, mówiąc: Godzili się w Sabat uzdrawiać? Lecz oni milczeli. A On ująwszy, uzdrowił go i odprawił. A odpowiadając rzekł do nich: Jeźli którego z was wół lub osieł wpadnie w studnię, czyliż wnet go nie wyciągniecie w dzień sobotni? I nie mogli mu na to odpowiedzieć. I powiedział też do zaproszonych, przypatrując się jako pierwsze siedzenia obierali, mówiąc do nich: Gdy będziesz wezwan na gody, nie siadajże na pierwszem miejscu, aby snadź poczciwszy nad ciebie nie był wezwany od niego, a przyszedłszy ten, który ciebie i onego wezwał, nie rzekł ci: Daj temu miejsce. Ale gdy będziesz wezwan, idź, usiądź na poślедniem miejscu, że gdy przyjdzie ten, który cię wezwał, rzecze tobie: Przyjacielu: posiądź się wyżej. Wtedy będzie tobie chwała przed społem siedzącymi. Bo wszelki, co się wynosi, zniżon będzie, a kto się uniża, wywyższon będzie.

Panowanie Zygmunta I.

Skoro tylko Aleksander umarł, Litwa obrała co prędzej swym księciem Zygmunta, trzeciego syna Kazimierza Jagiellończyka, bo się bała Glińskiego, co to był pobił Tatarów, a wywodził się z kniaziów ruskich, żeby się na księcia nie wdarł. Gniewali się Polacy, że nie naradziwszy się z nimi, Litwini obrali księcia, ale jednak na Zygmunta przystali, bo był uczciwy i roztropny, nie długo też, bo 20 Stycznia 1507 r. ukoronowali go na króla w Krakowie.

Gliński zaraz zaczął szachrować z Moskwą, żeby na Litwę uderzyła, a on wszystkie zamki, jakie ma pod zarządem, odda carowi. Nie potrzeba też było długiej namowy a Moskwa ruszyła na Ruś litewską i pustoszyła kraj mieczem i ogniem. Zebrało się spiesznie wojsko rzeczypospolitej, to jest: razem polskie, litewskie i ruskie, a Moskwa widząc, że to nie można łupić, ale się bić trzeba, cofnęła się do swoich krajów i car prosił o pokój. Tymczasem wojska rzeczypospolitej wpadły też do moskiewskiego kraju i napustoszyły go niemało. Ale król Zygmunt nie mógł zatrudniać się samą Moskwą, bo Polska miała jeszcze do bicia i Tatarów i Turków, a na koniec i Wołochów, którzy od tego czasu, jak ich Jan Olbracht tak haniebnie naszedł, stali się wiecznymi nieprzyjaciołmi Polski. Wśród tych kłopotów Gliński zebrał na swoją rękę przeszło 2 tysiące żołnierza, a łupił po Litwie i zabijał najcnotliwszych panów, co szczerze kochali rzeczpospolitą polską, jako swoją Ojczyznę. Wyruszyło więc wojsko na ukaranie tego niegodziwego zdrajcy, wtedy on zebrawszy swoje bogactwa uszedł do Moskwy i podmówił Tatarów, żeby ruszyli na pustoszenie Litwy. Sypały się więc tysiące tysięcy tej dziczy, a gdzie przeszli tam zostawiali po sobie niebo i ziemię.

Zaszedł im drogę Konstanty Ostrogski, wódz nad wodzami, bo odważny a roztropny jak mało na świecie; więc choć miał nie wiele wojska, to śmiało szedł na Tatarów. A umiał też Ostrogski z nimi wojować, bo przez 8 lat siedział w moskiewskiej niewoli, a car go przymusił, że bił z jego

wojskiem Tatarów. Naszedł ich Ostrogski pod Łopuszną 4 Maja 1512 r., gdzie się rozłożyli obozem w kilkadziesiąt tysięcy, a wódz rzeczypospolitej w 10 tysięcy wojska uderzył na nich, a strzelając i rąbiąc darł się w sam środek obozu. Tu zaraz rozcinają Polacy powrozy, któremi lud zabrany w niewolą by powiązany. Każdy uwolniony chwyta w rękę co może, a tłuką dzicz tak, że co z Tatarów trupem nie padło, to poszło w niewolą.

Po ukaraniu najezdzców wojsko rzeczypospolitej poszło na zasłonięcie granic od napadu Turków, kiedy Moskale znowu Ruś nachodzą i rzną się prosto do Smoleńska. Miało to miasto wysokie i mocne mury, więc się tęgo broniło.

W rok znowu Moskale przychodzą pod Smoleńsk, ale znowu odpędzeni zostali. Aż dopiero trzeci raz w r. 1514 wyruszył sam car z niezmiernem wojskiem, i tak to biedne miasto otoczył, z taką mocą do murów walił, że się w proch rozsypywały. A na koniec tyle kul ognistych puszczono na miasto, że całe stanęło w płomieniach. Krzyk nieszczęśliwego ludu rozlegał się w powietrzu, a kobiety, dzieci i ruscy kniazie, z wielkim płaczem namawiali do poddania się. Otworzono więc bramy, Moskale weszli do miasta, a carscy urzędnicy zaraz odbierali przysięgę wierności od Smoleńszczan, i przy tem nakazali: że pod karą śmierci żaden człowiek nie ma wspominać, że kiedy należał do rzeczypospolitej polskiej, że od tej godziny są Moskalami, a cara mają kochać i słuchać jak samego Boga. Struchleli Smoleńszczanie słysząc te moskiewskie prawa, szczerze dopiero żałowali, że się nie bronili do ostatniego.

Rozzuchwalony car tem zdobyciem Smoleńska, umyślił zagrabiać Ruś coraz dalej, kiedy tymczasem nadbiegł z wojskiem dzielny Ostrogski. Nie miał on nad 17 tysięcy, a car do 90 tysięcy prowadził żołnierza. Ale dzielny wódz rzeczypospolitej nie pytał ile nieprzyjacielskiego wojska, jeno gdzie stoi, szedł śmiało a uderzał. Moskale stali między dwiema rzekami: Dnieprem i Kropiwną koło Dąbrowy. — Jazda i piechota rzeczypospolitej stanęła w szyku bojowym, a zaśpiewawszy Boga Rodzico czekała nieprzyjaciela. Moskale z

wielu stron uderzyli na nich, ale Polacy odparli ich śmiało, nakładszy im niemało trupa. A kiedy natarli napowtór, Ostrogski kazał sypać gęsto ogień z armat, i miał się niby do odwrotu. Moskale za nim, a on dopiero w całym porządku nawraca i stawa do bitwy. Wtedy padł strach na Moskwę, a Polacy, Litwini i Rusini natarli na uciekających i dopiero zmiatali głowy jak makówki, a co nie zrąbano i nie wystrzelano, to wpędzono w Dniepr i Kropiwnę, tak, że Moskwy 30 tysięcy padło, a reszta, co nie zdążyła uciec, to poszła w niewolę. Car jednym tchem uciekał do Moskwy, a Ostrogski zabrał w obozie nieprzebraną moc broni, armat, i różnych bogactw.

Ostrogski był Rusinem, więc też drugiego dnia po tem wielkiem zwycięztwie ruscy księża odprawiali w polskim obozie nabożeństwo, dziękując Bogu za to zwycięztwo nad dzikimi Moskalami, którzy zaparłszy się słowiańskiego rodu z kretesem się ztatarzyli. Potem Ostrogski oczyszczał kraj z moskiewskiego wojska, tak, że zebrał do 100 tysięcy niewolnika i odesłał na Litwę. Ale musiał znowu obrócić się na Tatarów, którzy nie przestawali krajów rzeczypospolitej napadać, i prawie co rok Litwę, Ruś, albo Polskę najechali. Ostrogski był prawdziwem biczem bożym na nich, bo jeżeli do szczętu Tatarów nie pobił, to przynajmniej niewolnika i łup odebrał. Ale roku 1519 wpadła dzicz tatarska do Polski aż czterema stronami. Ostrogski stanął z wojskiem u zamku Sokalu nad rzeką Bugiem, i swoim zwyczajem czekał na powracających Tatarów, kiedy pociągną zwolna z zabranemi łupami. Ukazali się niedługo z drugiej strony Bugu i rozłożyli się na nieprzejrzanych polach z ludem pobranym w niewolę, z bydłem, końmi i innymi łupami. Serce się polskiemu rycerstwu krajało, patrząc na biedny lud popętany w powrozy, słysząc dzikie śmiechy i radość przebrzydłych Tatarów, a choć Polaków ledwie było 5 tysięcy, a Tatarów na kilkadziesiąt tysięcy, wołali na wodza, aby się przeprawić na drugą stronę rzeki.

Doświadczony Ostrogski wstrzymywał wojsko jak mógł, bo chciał Tatarów między bagna dostać i tam zbić podług

zwyczaju. Ale kiedy wojsko zaczęło lamentować, że dzicz jeszcze więcej kraju napustoszy, a Polacy trzymają broń w ręku, a nie zasłaniają biednego narodu, wtedy Ostrogski krzyknął, aby mu podali konia, mówiąc: cha! kiedyć koniecznie chcecie, to za mną w imie Boże na poganów; i pierwszy puścił się wpław. Rozpoczęła się krwawa bitwa; Polacy strzelali i rąbali tak dzielnie, że do 4 tysięcy dziczy padło. Ale cóż kiedy Tatarzy jak sypnęli do nich strzałami z łuków, tak się prawie z dnia noc zrobiła. Polskiego rycerstwa tysiąc padło, i nie było rady, tylko na powrót uchodzić do Sokala.

Po tej przegranej wielka trwoga padła na naród; ale król i Ostrogski głowy nie tracili, jeno myśleli jak obronić kraje rzeczypospolitej. W Polsce jak wiecie nie było gotowego wojska, w potrzebie dopiero szlachta stawała do boju. Aleć to na Tatarów niewiele co pomogło, bo oni przez kraj lecieli jak wiatr, a nałupiwszy zmykali co prędzej. Więc też na pierwszym sejmie król przekładał: iż hańbą jest, że się naród pozwoli napadać Tatarom i patrzy jak tysiące braci nieledwie każdego roku pędzą w okrutną niewolę, a nie masz innej rady, tylko pomyśleć o stałem wojsku. Zgodzili się na to posłowie, i ustanowili zaraz podatek na utrzymanie wojska, któreby stało po zamkach na Podolu i Rusi, którędy Tatarzy przechodzić musieli. Skoro też tylko to wojsko ustanowiono, tak zaraz wpadło do tatarskiego kraju, boć to najlepiej bić napastnika w jego własnej ziemi, to nie nachodzi cudzej. Nabrali Tatarom łupu niemało, bo samej rogacizny na kilkadziesiąt tysięcy i z tem wrócili do Polski. Widząc Tatarzy, że Polacy tym sposobem ich pokonać snadniej mogą, nie zaraz Polskę naszli, ale za to obrócili się na Moskwę, tak że car prosił króla o pokój. Przystał Zygmunt na pokój przez lat 10, a to z tej przyczyny, że Wołosi i Krzyżacy rozpoczęli z Polską wojnę.

Nietylko Polska, ale cały świat był wtedy w takich nieustannych wojnach, gdyż dzicz tatarska, moskiewska i turecka, cisnęły się na ujarzmienie chrześciańskich ludów, a do tego chrześciańskie narody wojowały między sobą, bo Niem-

cy nietylko, że nikomu nie szli na pomoc, ale jeszcze kiedy z jednej strony szarpał Turek albo Moskal, to z drugiej szarpali ten kraj Niemcy. Tak zrobili z Wołochami, z Węgrami, Czechami i Polską. Widząc więc cesarz niemiecki, że Moskale Ruś nachodzą, zawiera z carem co prędzej przyjaźń i dostawia mu przez kraj Krzyżaków inflantskich rzemieślników, co umieli robić armaty doskonale i inną broń; strzelców, co umieli tą bronią kierować, nawet wojsko niemieckie pozwolił Moskalom najmować, zgoła w czem tylko mógł, to się z Moskalami bratał. Mistrz też krzyżacki, widząc Polskę w ustawicznych wojnach, nie chciał hołdu składać, i wszystkich sztuk niemieckich używał, żeby się jeno wykręcić. Cesarz niemiecki śle posłanników za posłannikami do Zygmunta, a każdy przywozi długie pisanie i czyta o jakichś prawach krzyżackich. Ale Zygmunt odpowiada na te wszystkie gryzmoły niemieckie: że mistrz ma hołd złożyć, bo inaczej pójdzie wojsko polskie i Krzyżaków nauczy dotrzymywać ugody. Tymczasem mistrz umiera a Krzyżacy obierają coprędzej Albrechta brandenburgskiego mistrzem, syna rodzonej siostry króla Zygmunta, ale takiego twardego Niemca, jak drudzy. Zygmunt przedewszystkiem pytał się o Ojczyznę, więc to pokrewieństwo nowego mistrza nic nie pomogło, i kiedy nie chciał złożyć hołdu, poszło wojsko polskie do kraju krzyżackiego i rozpoczęła się wojna. Chowali się Krzyżacy po zamkach, dla tego Polacy nie wydali im żadnej wielkiej batalii, ale tłukli Niemców porządnie, gdzie ich tylko dosięgli. Poruszali też Krzyżacy ziemię i niebo, aby im Zygmunt trochę pofolgował, i szły za nimi prośby tak od cesarza jak od Ojca świętego. Król jednak na żadne prośby nie uważał, tylko kazał bić Niemców jak Bóg przykazał.

(Dokończenie nastąpi.)

Zkąd pochodzi obchód wigilii.

Niektóre wigilie obchodzimy bardzo uroczyście, jak np. Bożego Narodzenia, św. Jana, św. Andrzeja itp. co ztąd pochodzi, że dawniej rozkład dnia był całkiem inny niż dzisiaj. Jeszcze przed trzysta pięćdziesięciu laty liczono początek dnia od zachodu słońca, i od tej chwili dzień ten zaczynano święcić. Dawny ten zwyczaj zachował się przez obchód wigilii.

Z życia naszych kapłanów na wygnaniu.

KILKA ODERWANYCH KARTEK ZE WSPOMNIEN WYGNANCA.

Zebrał **Feliks K....**

(Dokończenie.)

Ks. Ludwik, w miarę zbliżających się świąt smutniał coraz widoczniej — nie mógł pogodzić się z myślą spędzenia ich zdala od ukochanych — rozdrażniała go zabawnie tajemnicza mina zakonnika, jego żarty — czynił mi wymówki czasami, że tak obojętnie słuchałem jego żalów.

Nawet pomyślna wiadomość, że znienawidzony przez nas wszystkich Bardowski wyleci zapewne ze swej posady, nie mogła mu rozchmurzyć czoła.

Na dzień przed Wigilią zjechała do Ustiuga komisya śledcza z Wołogdy — panu B. opieczętowano biuro i wszystkie papiery, przebrał bowiem miarę — kradł za dużo — przekroczył granice, w jakich carat dozwala rabować — z bólem więc serca, lecz musiano go zawiesić w urzędzie i rozpocząć dochodzenie.

W mieście głośno mówiono, że ktoś z zesłanych, widząc się z Kochanowem (człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości i przyjacielem Polaków), opowiedział mu otwarcie wszystko i w ten sposób uszył buty zausznikom gubernatora. Towarzysz ministra w pół roku dopiero zrzucił dachówkę na głowę renegata, ale dość ciężką, aby zgnieść pięciu pod tym ciosem. Podejrzywano wielu z nas o ten figielek, Gubkin jednak sam już z duszą na ramieniu, zostawił nas w spokoju.

Nareszcie nadszedł dzień uroczysty. Po rannej mszy św. zebraliśmy się u ks. Pajdowskiego i postanowili nie dzielić się opłatkiem prędzej, aż dopiero wieczorem — ja zaś miałem ks. Ludwika zatrzymać u siebie całe popołudnie aż do szóstej grą w szachy, tak aby w jego mieszkaniu można było wszystko przygotować bez przeszkody.

Pani W. z córką przybyły zdrowe, uszczęśliwione i nie bardzo zmęczone o drugiej w nocy z Wołogdy i zniknęły bez śladu w dworku Misiewiczów, których służbie zakazałem najsurowiej wspominać gdziekolwiekbądź o gościach z kraju.

Wieczorem według pomysłu zakonnika ustawiono z łukowato przeciętych desek zaimprowizowany stół w podkowę na dwadzieścia osób, gdyż tylu nas było w Ustiugu, wliczając i owych dwóch na pół politycznych biedaków, których nędza i brak wykształcenia, a głównie brak moralnych zasad, pchnęły na drogę występku. Obaj pracowali ciężko, zacierając przeszłość tą pracą, nieraz nad siły — zresztą nie wolno nam było rzucać na nich kamieniem.

Pani W. przywiozła z Radomia odrobinę siana z łąk naszych, w osobnej zaś skrzyni na adres ks. Pajdowskiego, prócz ryb naturalnie wszystko, co do sporządzenia sutej wieczerzy było potrzebne. Zakonnik uplanował tak, chcąc koniecznie nawet zamówić i ryby, niestety jednak nasza kucharka oparła się temu stanowczo.

Stół nakryty — począwszy od obrusów, serwet, talerzy itd. — dźwigał na sobie wszystko polskie z kraju, gdyż nawet i mąkę na kołacze nam wysłano. Ja dałem się ks. Ludwikowi w ciągu popołudnia pobić zupełnie w szachy, co go przecież w dobry humor wprawiło, a gdy mu nareszcie powiedziałem, że ksiądz Pajdowski ma dla niego bardzo, ale to bardzo pomyślną wiadomość z Radomia, i że mu wszystko po wieczornej modlitwie w kaplicy sam wyjaśni, piękne oblicze kapłana rozpogodziło się zupełnie.

— Wiem — rzekł już uśmiechnięty — pewnie mi moi przysłali jaki upominek!

— A tak i do tego — żywy.

— Jak to — żywy?

— Dowiesz się ksiądz za chwilę — a teraz do kaplicy!

O tyle mil od kraju, w mroku dużej sali o przysłoniętych oknach, przed ołtarzem klęczał, ks. Ludwik, czytając głośno litanią, z której "módl się za nami" powtarzało grono zesłanych i w niem dwie czarno odziane, jakby umyślnie kryjące się w głębi kobiety.

Po nabożeństwie ks. Ludwik i zakonnik weszli pierwsi do rzęsiście oświetlonej jadalni — my wszyscy za nimi. Kapłan wziął opłatki na tacy ułożone, aby zacząć z nami działy i powtórzyć życzenia lepszego jutra. Drżąc jednak, o mało

że nie upuścił ich na ziemię. Poznał tę tacę i zmięszany, rzucając okiem na stołową zastawę, zaczął ją także poznawać — oraz meble — ulubione krzesło przy oknie. Jak błędny postąpił ku pani M., chcąc od niej zacząć łamanie świątecznego chleba.

— Zacznijże ksiądz już od gości naszych z dalekiej ziemi — od matki i od siostry! — zawołał nagle zakonnik, pociągając go ku dwom kobietom, co także drżące, pomięszane, ze łzą radości w oku postąpiły ku niemu.

Lecz wygnaniec został chwilę na miejscu — bez ruchu. Pochłaniał oczami drogie sobie istoty — krew widocznie ustępowała mu z twarzy, chwiał się. Aż z głośnym płaczem przypadł do nóg mateczki, objął jej kolana, całował jej ręce i szaty.

— Mój Boże, mój Boże! — szeptał, tuląc je obie do siebie — więc to nie sen — wy tu jesteście przy mnie.

Potem jak obłąkany porwał się z kolan i ujął zacnego zakonnika w ramiona.

— Jakiś ty bracie poczciwy! — więcej nie mógł już wymówić — stracił przytomność z nadmiaru szczęścia.

Ale szczęście rzadko zabija! Oprzytomniały, znalazł się między ukochanemi, spokojniejszy już — mężniejszy na jutro.

Opromienieni cali jednego brata radością, siedliśmy do stołu. Uchylono drzwi i ukazała się w nich miła postać Nararjewowej z jedynakiem, czepiającym się ręki matczynej. Kobieta nieśmiało spojrzała dokoła i przystępując bliżej:

— Męża mego nie ma w domu.... ja jestem waszej wiary.... a choć chłopiec mój chodzi do cerkwi, bo musi... chowam go dla was moi bracia!

Słuchaliśmy zdumieni.

— Czy znajdziecie miejsce i dla nas przy rodzinnym stole?....

. . . .

Miejsce znalazło się natychmiast; i długo w noc biesiadowano pod strzechą zesłanych.... łączyły się dłonie, jak pierwej już serca i dusze.

Brzask poranny znalazł nas jeszcze za stołem, a gdy ks.

Ludwik powstał pierwszy, aby ubrać się dla odprawienia pasterki — między klęczącemi przed obrazem N. M. P. z Częstochowy, widać było i żonę carskiego czynownika i małe chłopię, żegnające się łacińskim krzyżem, przez zacną matkę wydarte prawosławiu.

* * *

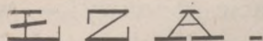
W rok potem — dotrzymując obietnicy danej w Wołogdzie gubernatorowi — uwolniłem się sam z pod jego miłej opieki.

I znów, jak z chwilą mego tam przybycia, we wigilią odjazdu, dłonie zacnego kapłana spoczęły mi na głowie.... i znów modlił się i błogosławił wygnańca na dnie nowych rozczarowań, nowych zawodów i nowej niedoli.

Gdy w nocy, śród szalejącego na Dźwinie huraganu siadałem na wątłe czołno, aby cichaczem przeprawić się na drugą stronę, rzucił mi jeszcze z brzegu ulubione sobie wyrazy:

"Kto ma wiarę — ten wszystko pokona!"

Do dziś tych słów nie zapomniałem.



ŁZA.

W dzisiejszych czasach wolności procederowej, gdzie praca rzemieślnika wyzyskiwaną bywa przez kapitał, najzgrabniejszy nieraz rzemieślnik nie może przemysłu swego podnieść, bo kapitaliści zakładają wielkie składy, do których sprowadzają towary zamiejscowe, albo też korzystają z pracy zgrabnych rzemieślników, jeżeli ci, biedą naciśnieni, na pół darmo pracować dla nich zechcą.

Doświadczył tego na sobie pewien stolarz, zgrabny w swym zawodzie, który pomimo pilności i trzeźwości zaledwie na wyżywienie rodziny mógł zapracować. Razu pewnego polecono go pewnemu bogatemu kupcowi chrześciańskiemu, który zamówił u niego za 200 talarów mebli na wyprawę dla córki. Radość stolarza była nie mała, ale wkrótce ustąpiła kłopotowi; bo skąd tu wziąść pieniądze na materyał i wykłady? Nie chciał kupca prosić o zaliczkę, bo obawiał się, że

go przez to odstręczy, a że nie miał zamożnych przyjaciół, którzyby mu mogli przyjść w pomoc, więc nie pozostało mu nic innego, jak udać się do lichwiarza. Ten przekonawszy się, że stolarz miał istotnie tak znaczne zamówienie, pożyczył dość znaczną sumę na weksel za 12 prc. i to na dwa miesiące. Z niesłychaną pilnością pracował stolarz, i w kilku tygodniach gotowe były dwa tuziny krzeseł, szafy itp. wytwornej roboty.

W świątecznem ubraniu szedł obok wozów, na których swe arcydzieła przewoził kupcowi, i serce mu biło gwałtownie, gdy przechodzący piękną robotę chwalili. W domu kupca wszyszcy mebli nachwalić się nie mogli, a i sam kupiec wyraził wielkie swe zadowolenie.

— Na przyszłość — rzekł — pan będziesz wyłącznie tylko dla mnie pracować, bo robota wcale piękna. Każ pan wszystko ostrożnie pownosić do domu.

— Podobała mu się robota — zauważył po drodze jeden z czeladników; — dobrze mieć takiego odbiorcę; to bogaty człowiek.

— Tak jest; ja się też temu nie mało cieszę, — odparł stolarz, ale na twarzy jego nie było widać wyrazu tej radości, bo pomyślał o tem, że za tydzień upłyną owe dwa miesiące i weksel będzie płatny, a kupiec o zapłacie za meble nic nie wspmniał.

Cóż teraz będzie?

Zafrasowany siedział stolarz w domu, gdy siedm dni minęło.

— Słuchaj mężu! — rzekła mu żona. — Zdobądź się na odwagę, idź do kupca i poproś o zapłatę. Toć to zacny i sumienny człowiek, i będzie miał wyrozumienie.

Stolarz dał się nakłonić. Z ciężkiem sercem poszedł do domu kupca, konwulsyjnie ścisnął kapelusz, gdy stanął w w drzwiach bióra, i w prawo i w lewo ujrzał kilkunastu ludzi, którzy przy wysokich biórkach zatopieni byli w pisaniu. Na pozdrowienie jego nikt nie odpowiedział; a gdy po raz drugi nieśmiało się odezwał, zapytał go jeden z najbliżej siedzących opryskliwie:

— Czego sobie pan życzysz?

— Przepraszam — chciałbym pomówić z panem.

— Tam dalej! — wskazał sekretarz za plecy na koniec sali, gdzie za osobnem odgrodzeniem siedział kupiec przy biórku.

Powoli szedł stolarz przez salę; było mu, jak gdyby ołów miał przy nogach. Oparłszy głowę na lewej ręce, siedział kupiec zamyślony nad swemi papierami, gdy zaambarasowany stolarz niezgrabnie o drzwi kratek potrącił i przerwał mu wątek myśli.

— Czego sobie pan życzysz? — krzyknął gniewnie.

Stolarz zapomniał języka w gębie. Wszystkie piękne słowa, które mu żona wpoiła, poszły w zapomnienie i nie wiedział co odpowiedzieć. Stał jak niemy.

— No i czem mogę służyć? — zapytał powtórnie kupiec, który nie poznał swego stolarza.

— Przepraszam bardzo, panie — ja — ja jestem — ja przyszedłem — stolarz, który miałem honor pracować dla pana.

— Aha! No i cóż? Pan przychodzisz pytać o robotę? Chwilowo niczego jeszcze nie potrzebuję. Zresztą nie potrzebujesz się pan fatygować; gdy będę czego potrzebować, przyślę do pana — może niezadługo. Żegnam.

To powiedziawszy, zwrócił się znowu do swej pracy.

— Ach! — odezwał się nieśmiało biedny rzemieślnik,— niech się pan nie obrazi, ale przyszedłem prosić o łaskawe wypłacenie mej należytości; nie mam kapitału, a — — —

Kupiec podniósł się zniecierpliwiony.

— Płacę tylko półrocznie, — rzekł; — w takie drobiazgi wdawać się nie możemy, to nam za wiele robi ambarasu. Każ sobie pan kasyerowi wypłacić; ale z nami się skończyło. Nie trzeba roboty przyjmować, jeżeli zwykłego nie można udzielić kredytu!

Skinął na jednego z sekretarzy i kazał stolarzowi wypłacić należytość. W milczeniu odebrał pieniądze i poszedł do bióra kupca, aby kwit podpisać; a na wspomnienie, że na przyszłość nie będzie mógł większej roboty przyjmować, bo

dla ubóstwa na odpowiedni kapitał się nie zdobędzie, łza mu płynęła po licach. Kupiec to spostrzegł.

Nic nie mówiąc, skłonił się stolarz i poszedł, ale gdy połowę sali przeszedł, wezwał go kupiec napowrót i rzekł:

— Słuchaj jeno, panie mistrzu; zrób mi pan jeszcze dwanaście krzeseł, a na przyszły tydzień będę miał więcej zamówień. Ale byś mi pan zbyt często nie przeszkadzał, i ponieważ mi dłuższego udzielić nie możesz kredytu, więc ja panu zakredytuję. Wypłać pan — zwrócił się do kasyera, — temu panu jeszcze 400 talarów! — poczem zwrócił się do swej pracy.

Stolarz oniemiały w pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje — wnet się jednak spostrzegł i rozrzewniony począł jąkać słowa podziękowania.

— Dobrze, mój kochany, dobrze! — rzekł kupiec; — nie dziękuj pan; rzetelnej pracy należy się pomoc rzetelna. Wkrótce sam przybędę do pana i zobaczę, jak tam z interesami pana. Żegnam.

Uszczęśliwiony powrócił stolarz do domu i niepotrzebuję dodawać, że rzetelną pracą doszedł do dobrobytu. Kupiec zaś, którego łza stolarza tak dziwnie wzruszyła, poczuł pewną zmianę w sercu i odtąd niejedną łzę wycisnął, ale zawsze łzę wdzięczności.

PROFESOR I UCZEŃ.

Kiedy Jan Sobieski, późniejszy król polski, był uczniem w akademii krakowskiej, profesorowi Dąbrowskiemu spadła z głowy czapeczka, zwana biretem. Młody Sobieski poskoczył i z uszanowaniem ją sędziwemu nauczycielowi podał; profesor spojrzał na dorodnego młodzieńca, a ujęty jego grzecznością i tak chętną posługą, pogłaskał go po głowie i wyrzekł: "Doczekam tego, że ujrzę koronę na twojej głowie." Były to słowa prorocze.

W kilkadziesiąt lat później ten sam Jan Sobieski, wsławiony świetnem zwycięztwem, odniesionem nad Turkami

pod Chocimem, wybranym został królem polskim i wielkim Księciem Litewskim. Wjeżdżał on niedługo potem do Krakowa. Ogromny i sławny dzwon Zygmuntowski dał się słyszeć z wieży katedry na Wawelu, górując nad wszystkiemi dzwonami miasta. Lud gromadnie wybiegł, pod chorągwiami cechów swoich stanęli rzemieślnicy i obywatele Krakowa. Szlachta konno, strojno przy szablach, rycerstwo w wspaniałych zbrojach na dzielnych rumakach, a wszyscy, jakby jeden człowiek wznosili serdeczny i radośny okrzyk na powitanie króla bohatera. Na jednej stronie rynku stali profesorowie przesławnej akademi krakowskiej z rektorem swoim na czele.

Jan Sobieski, z uczuciem nieopisanej radości wjeżdżał w mury tego starożytnego grodu, gdzie wiele lat spędził młodych na nauce, a teraz patrzył na lud ukorzony, co mu hołd pokłonem swych chorągwi oddawał; patrzył na duchowieństwo, co go błogosławiło, na szlachtę i rycerstwo, co ogromnym okrzykiem witało swego niedawno pana-brata, a dziś króla wielkiego i potężnego państwa.

Gdy wjechał na rynek krakowski wśród odgłosu dzwonów, dymu kadzideł, huku dział, i głuszących to wszystko wiwatów ludu, ujrzał grono profesorów akademii. Wdzięczny uczeń tej przesławnej szkoły, zwrócił w tę stronę konia. I w tym samym orszaku dopatrzył profesora Dąbrowskiego, (już pochylonego zgrzybiałym wiekiem), co wyrzekł owe prorocze słowa, a teraz stał wsparty na kiju, i ze łzami z dala krzyżem świętym błogosławił nowego króla. Jan Sobieski zdjął czapkę z uszanowaniem, a pochylając się z konia, podał rozrzewniony rękę Dąbrowskiemu. Starzec jakby odmłodniał, rzucił kij, na którym się wspierał, a pochwyciwszy rękę ucznia-bohatera, głośnym zapłakał płaczem, okrywając dłoń Jana Sobieskiego pocałunkiem i łzami.

Ten dowód hołdu i miłości poruszył do głębi króla, słowa wyrzec nie mógł, pochylił się więcej z konia, chciał ukryć łzy własne, ale widzieli je wszyscy, patrząc z rozrzewnieniem na powitanie ucznia-króla ze swym profesorem.

Poczem zwrócił zwolna konia, i wielce wzruszony wjechał na stary zamek Wawelski.

Późny ale szybki awans.

Cesarz Napoleon I odbywał razu pewnego w Brukseli przegląd swego wojska.

Przejeżdżając zwolna przed frontem, ujrzał starego żołnierza, który nie miał innej odznaki, tylko stopień sierżant-majora. Żołnierz ten miał twarz ogorzałą od słońca i prochu i czynny brał udział w więcej jak dwudziestu bitwach. Miał on długą brodę, sięgającą mu prawie do pasa.

Cesarz przyzwał go do siebie. Stary wojak zarumienił się, a serce kołatało mu gwałtownie.

— Widywałem cię już dawniej, — odezwał się Napoleon do niego, — nie pamiętam tylko — gdzie i kiedy? Jak się nazywasz?

— Noel, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział sierżant.

— Zkąd jesteś rodem?

— Z Belgii.

— Czy byłeś ze mną we Włoszech?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, przy moście pod Arcole jako dobosz.

— A gdzie zostałeś sierżantem?

— Pod Marengo.

— A potem?

— Brałem udział we wszystkich bitwach.

Cesarz dał znak, a sierżant wstąpił znowu do szeregu. Potem rozmawiał Napoleon przez chwilę z pułkownikiem, a że przytem kilka razy spoglądał na sierżanta, widoczną było rzeczą, że o nim mówił. Noel należał do tych żołnierzy, którzy z bezwzględną sumiennością oddani byli swej służbie, byli bitni, waleczni i wytrwali, jak to cesarz lubił. Odznaczał się on we wszystkich bitwach, ale wrodzona mu skromność nie pozwoliła mu ubiegać się o zaszczyt i wyższe stopnie, gdy go przy rozdzielaniu takowych pomijano.

Cesarz ponownie go przywołał do siebie.

— Zasłużyłeś na odznakę krzyża! — rzekł dając mu własny swój krzyż. — Jesteś dzielnym żołnierzem.

Noel stał pomiędzy cesarzem a swym pułkownikiem.

Nie wiedział, co miał powiedzieć, ale oczy swe skierował na tego, który swoich żołnierzy tak dobrze umiał wynagradzać.

Na znak pułkownika uderzyli dobosze do apelu. Zapanowało ogólne milczenie. Pułkownik przedstawił armii nowego rycerza legii honorowej i zawołał donośnym głosem:

— Na rozkaz najwyższy cesarza sierżant-major Noel zostaje mianowany podporucznikiem w swoim pułku!

Wojsko zaprezentowało broń. Noel chciał cesarzowi paść do nóg, ale go powstrzymał wzrok jego surowy.

Nie zważając na starego żołnierza, dał Napoleon znak ponowny; znowu dobosze uderzyli do apelu, a pułkownik zawołał potężnym swoim głosem:

— Na najwyższy rozkaz cesarza podporucznik Noel mianowany zostaje porucznikiem w swoim pułku.

Belgijczyk utracił prawie przytomność; zaledwie utrzymać się mógł na nogach; on, który przez dwadzieścia lat jednej łzy nie wylał, teraz zapłakał.

Noel nie wiedział, co się z nim działo, gdy dobosze po raz trzeci uderzyli do apelu i pułkownik zawołał:

— Wskutek najwyższego rozkazu cesarza porucznik Noel zostaje mianowany kapitanem w swoim pułku!

Po tem zamianowaniu odbył cesarz z właściwym sobie spokojem dalszy przegląd wojska. Kapitan Noel z łzami w oczach padł w objęcia wzruszonego pułkownika i słabym zawołał głosem: "Niech żyje cesarz!"

FRASZKI.

Delikatna przymówka. Maciek wysłany przez swego pana z posyłką do sąsiedniego dworu, po oddaniu takowej stał spokojnie czekając i skrobiąc się w ucho.

— Na cóż ty czekasz? — pyta odbiorca posyłki.

— Proszę jaśnie pana, a cóż mam mojemu panu powiedzieć, jak się zapyta, com dostał na piwo?

Trafna odpowiedź. Przyjaciele zapytali się pewnego sławnego profesora, czy córki jego uczą się języków? Na to odrzekł profesor:

— Języków?... Ba! dla kobiet dość jeden język!
